

KRONIKA LWOWSKA.

(Nasza czarna niewdzięczność. — Pan Lityński jako fachman artystyczny. — Filharmonia zrobiła miejsce słowikom. — Kto wybudował Filharmonię? — Reduty. — Bilans czynów, czy bilans dochodów. — Inny miłośnik sztuki. — Pan Naftuła junior skąpany w Kunerolu. — Pochodzenie obrazów. — Kto bywa u p. Naftuły? — Jak się kupuje obrazy? — Ważna reklama. — Potrzeba rozszerzenia lokalu. — „Zakopane“ u Naftuły. — Ściany a obrazy. — Zamiast na strych, niech idzie do muzeum. — Ale waruneczek. — Napis. — Odmowa. — Druga propozycja Naftuły, ale waruneczek pod spodem. — Pan Michalski ma obie ręce zajęte. — Stara rada a nowa. — Co robili rajce? — Pożegnanie p. Michalskiego i list Małachowskiego. — Kto będzie prezydentem? — Spryt p. Michalskiego. — Jego odpowiedzi. — Wypróżnianie się miasta. — Teatr podzielony na trzy partye. — Dokąd chodzimy — Fabryka katarów żołądkowych. — My nie boimy się piekła).

Nasza czarna niewdzięczność nie tylko wejdzie kiedyś w prysłowie, ale powstaną o niej pieśni ludowe, do których następnie dorobi muzykę jeden z domorosłych kompozytorów, ażeby je w końcu odśpiewać w lwowskiej Filharmonii lub w innym podobnym miejscu.

Pan Leopold Lityński, dzierżawca gmachu skarbkowskiego, czekał dotychczas cierpliwie, ażeby któryś z lwowskich recenzentów muzycznych napisał fachowy artykuł z ubiegłego „sezonu“ filharmonicznego, a skoro spostrzegł, że recenzenci rozjechali się, a artykułu jakoś nie wiadać, ściągnął surdut, zakasał rękawy, zasiadł do biurka i — sam napisał nekrolog p. t. Filharmonia lwowska. Artykuł p. Lityńskiego, z którego „wieje poezją“ czy coś podobnego, a z każdego słowa „przebija się gorące umiłowanie sztuki“ zasługuje na przeczytanie, choćby na to, ażeby się uśmieć serdecznie.

Już na samym początku pisze p. Lityński: „Jedną z muz, ożywiających życie duchowe naszego miasta, spoczywa snem lata, robiąc miejsce słowikom i nieśmiertelnej pieśni odrodzonej natury. Czas najwyższy, ażeby zrobić bilans czynów i usiłowań instytucji, która tak wiele w ostatnich czasach budziła zainteresowania publicznego...“ Potem następuje kilka „głębokich“ myśli o „zróżniczkowaniu się“ sztuki, poczem p. L. odsyła operetkę do tinglu, a operę do Filharmonii, w teatrze z muzyki nie zostawiając ani jednego tonu. Dalej kilka ostrych wyrzutów pod adresem recenzentów, którzy śmieli krytykować „młodą instytucję“, a potem następuje już historia lwowskiej Filharmonii, z której wynika całkiem jasno, że p. Lityński ciągle „chce iść naprzód“. Święta prawda! Ale w czym? W gromadzeniu kapitałów.

Pan L., który nagle występuje teraz jako apostoł sztuki, jest sobie całkiem zwyczajnym spekulantem, którego jedyną pobudką „wybudowania“ Filharmonii (zdaje mi się, że „wybudował“ ją kto inny, a p. L. ją tylko... podreperował) był — czysty geszeft. W imię tego geszeftu p. Lityński wydzierżawił salę Hellerowi, a w jeden rok potem tę samą salę pozwolił wydzierżawić na tingel p. Thornowi, który przecież miał tam urządzić Colosseum. Na cóż to teraz drapować się w piękne piórka i udawać apostoła sztuki?

Co prawda — kiedy Heller zbankrutował w Filharmonii, a prasa nie pozwoliła tam urządzić Colosseum, p. Lityński sam zamianował się dyrektorem Filharmonii, w braku orkiestry zaangażował bandę wojskową i raz w miesiącu przez cały sezon ubiegły udawał Filharmonię. Że nikt tego nie brał na seryo, dowodem jest powodzenie. Mimo całkiem niskich cen publiczność nie chodziła na koncerty wojskowe. To było do przewidzenia. Z drugiej strony p. Lityński nie wspomina w swoim artystycznym sprawozdaniu z ubiegłego sezonu o redutach, urządzanych w Filharmonii każdej soboty. Te przecież miały lepsze powodzenie a tych prasa wcale nie krytykowała i owszem zachwalała je z góry, reklamowała, zapowiadała „huk niespodzianek“ i „niebawomy program“. Czy te reduty, ten najcięższy skandal Lwowa, urządzane systematycznie przez cały sezon w sali, która przez tyle lat była świątynią sztuki, czy one mało świadczą o zmyśle artystycznym i zamiłowaniu do sztuki p. Lityńskiego?

A przecież p. Leopold Lityński, autor „Odrodzenia ekonomicznego Galicji“, który gmachem dzierżawionym bardzo ekonomicznie ze względu na swą kieszeń zawiaduje, gotów — jak z tonu jego artykułu wynika — wypietrzyć drugą broszurę p. t. „Odrodzenie artystyczne Galicji“.

Jego „bilans czynów“, których nikt nie widział i widzieć nie był ciekaw, powinien być stanowczo zostać w teczce wśród tych wszystkich bilansów dzierżawy gmachu, w których widnieje zmyśl kupca-spekulanta, a z których wynika, jak bardzo p. Lityński zdziera lokatorów gmachu skarbkowskiego, lub ich ze wszystkimi na bruk

wyrzuca, wynajmując większą część gmachu na biura urzędów skarbowych...

Skoro zaś taki spekulant poważa się robić publicznie bilans artystyczny i sam się pasuje na apostoła sztuki, należała mu się bodaj ta pobieżna odprawa.

Innym znawcą i miłośnikiem sztuki jest pan Naftuła junior, czyli *pleno titulo* Michał Szymon Toepfer, właściciel znanej, zachwalanej, uczęszczanej, renomowanej restauracji na świeżem maśle „Kunerol“. Ale podczas gdy p. Lityński „robi“ tylko w muzyce, to p. Naftuła całym ogniem skąpanej w Kunerolu duszy grawituje wyłącznie ku malarstwu.

Pan Naftuła ma w swojej renomowanej jadłodajni dużo obrazów i obrazków. Pochodzenie tych dzieł nie jest tak prostem, jakby się może wydawało. Pan Naftuła nie poszedł do pracowni malarzkiej, albo na tandytę pod bożnicą, ażeby zakupić jakieś obrazy. Nie! Pan Naftuła jest restauratorem wprawdzie, ale przytem kultywuje sztukę. Ma wogóle zamiłowanie do malarstwa. Wprawdzie rozumie się o wiele lepiej na wieprzowej z kapusta, aniżeli na pejzażu, lub akwareli, ale ma i w tę stronę jakiś pociąg, który wyrobił się w nim pomału, ale stanowczo. Jak to się stało? Krążą o tem między kelnerami tej znakomitej restauracji rozmaite gadki, z których żadna dotąd urzędowo nie została sprawdzoną. Najznakomitszy we Lwowie restaurator pan Naftuła junior miewa w swojej renomowanej restauracji różnych gości. Bywa czasem profesor, bywa agent policyjny, zachodzi tu i ówdzie student, czasami poeta, od czasu do czasu dziennikarz, gdzieniegdzie aktor, albo i feldwebel, więc może tak samo dobrze zajść i malarz. Ale że artysta-malarz nie zawsze ma pieniądze, kiedy maluje i nie zawsze płaci, kiedy je, więc p. Naftuła *jun.* miłym człowiekiem z natury będąc, daje czasem obiad lub kolację na „puf“, ale pod waruneczkiem... Za wygodę — wygodą. „To ciebie człowiecze (z każdym artystą, aktorem, malarzem czy poetą jest „per ty“) i tak nie nie kosztuje, przynieś jakieś płótno, to tu się zawiesz, ot, widzisz, tu, — sługa pana dobrodzieja — to będziesz nawet miał szaloną reklamę, a tu jak ci wiadomo zachodzą rozmaici i baron i hrabia i generał — sługa pana barona, moje uszanowanie — to widzisz, może który spytać, czyj to obraz, a ja posyłam wprost do ciebie, uważasz, i bierzesz za pierwszy lepszy bohomaż stówkę, uważasz, jak nie, *eviva l'arte!* co? więc przynieś, a ja znów nie taki twardy, możesz i jutro przyjść na obiad, nawet na kolację, a może ci potrzeba drobnych, zdaje mi się, żem ci winien 5 koron, co, prawda, dobrze, żem sobie przypomniał, więc jutro posyłam do ciebie Michałka — ty mały, dajno tu dwa duże...“

I tak p. Naftuła *junior* pomaleńku zebrał sobie całą „galeryę“. Lecz, że naszym nieznanym jeszcze malarzom ten łatwy zbyt wprost imponuje, a apetyt mają, jak szach perski, więc zebrało się tego „paskudztwa“, jak powiada p. Naftuła *junior*, jak mrowia. Tymczasem okazała się potrzeba rozszerzenia lokalu. Na piątę urządzono t. zw. „Zakopane“ dla inteligencji, t. j. dla starszych feldwebłów, co znakomitszych kupców, fabrykantów cukierków i pierników, autorów dramatycznych tudzież demokratycznych polityków i dziennikarzy. Na ścianach, gdzie dotąd wisały wiekopomne dzieła galicyjskiego, specjalnie lwowskiego pędzla, trzeba było urządzić szaragi dla filisterskich kożuchów, paletotów, cylindrów, czapek i czak i porozwieszać ogłoszenia i dzienniki. Powiedział tedy p. Naftuła do swojej duszy:

— Ma ta tandyta iść na strych, gdzie myszy potruje, albo zasmrodzi mi grzybki i kiszzone ogórki, to niech lepiej idzie do muzeum miejskiego, a imię moje nie tylko wśród gości, kelnerów i restauratorów się podniesie, ale przejdzie do historii miasta Lwowa. Ale... waruneczek. Dam wam obrazy — powiedział p. Naftuła — ale musicie mi dać na te obrazy osobny pokój, gdzieby żaden malarz, lub inny restaurator nie mógł wywieść swoich obrazów, a pokój ten nosić ma napis: „Zbiór obrazów restauracji Naftuły — dar Szymona Michała Toepfera — Lwów, ul. Trybunalska 12 — wdzięczne społeczeństwo pamiętaj o nim!“ Zarząd muzeum odmówił, motywując tem, że za mało obrazów, ażeby wypełniły cały pokój. Wtedy pan Naftuła zawołał wielkim głosem: — Dam wam pełny pokój obrazów, ale waruneczek ten stawiam, że prócz powyższego napisu umieścicie mi pod spodem spis i cennik potraw mojej najlepszej i najtańszej, wogóle najznakomitszej we Lwowie restauracji.

Toczą się obecnie narady i rokowania, czy

przyjąć ten warunek. Zdaje się, że będzie przyjęty.

Tymczasem p. Michalski miał obie ręce zajęte, bo naprzód musiał pożegnać starą ustępującą radę, a zaraz potem powitał nowo wybranych radnych. Ustępującym radnym dziękował czule pan Michalski za „pracę“ zawsze „pełną poświęcenia“, czego najlepszym dowodem było, że ich ponownie do rady nie wybrano. Z żalem żegnali ustępujący rajcowie swoje miejsca, gdzie tyle przyjemnych godzin przedrzemali, nie naprzykrzając się broń Boże nikomu, a kiwając tylko głowami, ile razy zbudzono ich do głosowania. Teraz „spadł im ten ciężar publiczny“ z głowy, a inni, nowi objęli ich krzesła wygrzane. Pan Michalski żegnał jednych, a witał drugich i zachęcał do „pracy“ i do „pilności“. Czynił to w zastępstwie prezydenta Małachowskiego, który nawet nie pojawił się na ostatnim pożegnalnym posiedzeniu rady, a tylko przysłał z Wiednia list pożegnalny, pełen „łez i krwi“, w którym wylicza wszystkie swoje zasługi nie na to, ażeby siebie pochwalić, ale, ażeby były wzorem dla przyszłego prezydenta.

Prezydentem Lwowa będzie zdaje się p. Michalski, choćby dlatego, że najlepiej umie odpowiadać na niewygodne interpelacje. Odpowiedzi jego są istotnie dla kołtunery miejskiej czemśdoskonałem, zadawalniając bowiem wszystkich, choć są tylko zręcznym wykretem. Radny zrobił swoje, bo interpelował, prezydent odpowiedział i przyrzekł zrobić wszystko (on nigdy nie odmawia), a sprawa bierze w łeb, przeważnie z winy rządu.

Lwów już od kilku tygodni wypróżnia się. Sezon ogórkowy rozpoczął się na dobre, choć jeszcze nie zapanował w całej pełni, jak długo młodzież szkolna nie wyjechała na wakacje. Część mieszkańców i to ta górna „lepsza“ bawi się na wsi, u wód, nad morzem. Świadczą o tem stale nie podnoszące się story w wielu mieszkaniach i coraz liczniejsza kradzież.

Teatr podzielił się na trzy partye. Operetka śpiewa w Krakowie, dramat tryumfuje w Kijowie, a w teatrze miejskim we Lwowie przedstawienia odbywają się co drugi dzień. Idą same farsy francuskie pod wybórą reżysera Wysockiego. Teatrem kieruje dyr. Paławski.

Ludzie jednak nie bardzo chodzą do teatru, a gorąco pędzi ich do parków miejskich, gdzie wilgoć przyjemna i do ogrodu pojezuickiego, gdzie stoi pomnik Gołuchowskiego i gdzie policyant w dzień i w nocy uważa, aby p. Gołuchowski nie zlaźł mimowoli z piedestału. Przy tej sposobności można wdepnąć do restauracji Rudolfa, gdzie przy dźwiękach kapeli wojskowej wyrabiają się rozmaitego gatunku katarzy żołądka, zatrucie kiszek nieświeżym mięsem i inne letnie, lwowskie przyjemności.

W jednym z najbliższych fejetonów przedstawiam Wam szczegółowo, jak wygląda Lwów podczas sezonu ogórkowego. Dziś tylko dodaje, że kto zawodem, lub stosunkami rodzinnymi zmuszony jest przepędzić lato we Lwowie, ten po najdłuższem życiu z pewnością kpić będzie z piekła i na sądzie ostatecznym po ogłoszeniu wyroku skazującego na wieczne przebywanie w piekle zawoła z uśmiechem:

— Nic mi nie zrobicie, ja kpię z was, mieszkalem w lecie we Lwowie!

Klewe.

Kącik humorystyczny.

Jeżeli.

On: Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, za tydzień będę znów przy tobie, chyba dochowasz mi wierności?

Ona: No tak — jeżeli wszystko pójdzie dobrze!

Z filozofii codziennej.

Największym niewolnikiem jest — kto najmiej potrzebuje.

Kto chce grać w różne skrzypce — nie powinien mieć zbyt delikatnych strun.

Po kupiecku.

— Czy to prawda, że żenisz się z panną Irmą córką szefa? Ależ ona jest straszna!

— Nic nie szkodzi! Wszak biorę nie tylko Irmę — lecz i firmę!

Dowód.

— Jak ci się zdaje, czy mojemu narzeczonemu zwrócić ofiarowane mi kosztowności?

— Czy ich zażądał?

— Bynajmniej.

— To zwrócić, bo w takim razie nieprawdziwe!